

## WPLAW - 1

-----

Z Bari w południowych Włoszech odjechał do domu ostatni członek załogi jachtu – zostałem zupełnie sam. Jacht nie był co prawda przystosowany do samotnej żeglugi, nie posiadał samosteru, ale od czego własne „patenty” i sposoby. Kilka gumowych amortyzatorów zaczepianych z właściwym naciągiem o rumpel – do tego właściwe, precyzyjne ustawienie żagli i prawie na wszystkich kursach dało się uzyskać samo sterowność pozwalającą odejść od steru, żeby coś ugotować, czy narysować na mapie. Na spanie można zawsze ustawić jacht w dryfie i odpowiednio często się budzić, aby nie dać się komuś rozjechać.

Podjęcie decyzji wypłynięcia nie przyszło mi łatwo, gdzieś na dnie duszy błędziły jakieś bliżej nie sprecyzowane wątpliwości. Czy wszystko pójdzie tak jak to sobie wymyśliłem? Zobaczmy. Nigdy nie lubiłem zastanawiać się zbyt długo – decyzje trzeba podejmować zdecydowanie i w miarę szybko. No cóż nie dam powodu kolegom do późniejszego naciągania się ze mnie – że „cykoriometr” nie pozwolił mi przeżyć samotnej żeglugi po pełnym morzu. Tak rozpoczął się kolejny etap rejsu „IX-tej Fali” – Etap żeglugi samotnej.

Bardzo szybko nastąpiła adaptacja organizmu do bardzo krótkich okresów snu – nigdy dłużej niż 50 minut w jednym kawałku. Za to kawałków tyle ile będzie potrzeba. Pierwsze trzy dni jacht posuwał się zgrabnie w założonym kierunku i warunki pogodowe nie wróżyły żadnych niespodzianek – lekki korzystny wiatr, mała fala tylko bardzo ciepło – cieplej niżby to było przyjemnie. Zgodnie z przygotowaniem trasy rejsu powinien on zająć najwyżej cztery – pięć dni. Czwartego dnia jednak wiatr zdechł kompletnie i mozolne wyliczenia diabli wzięli.

Prawie niewidoczna fala kiwała stojącym w miejscu jachtem. Obwisłe żagle, wolno obracający się, to na lewo, to na prawo bom, brzydki skrzyp poruszanych szakli i garnek rytmicznie tłukący o ogranicznik kardana kuchenki.

Sytuacja nie zmieniała się już od trzech dni. Z obliczeń pozycji zliczonej, oraz ze wskazań GPS-u do najbliższego lądu było jeszcze ponad 100 mil – lądem tym była Sycylia, a zamierzonym portem wejścia Syrakuzy. Cóż z tego, kiedy cisza trzymała jacht już trzeci dzień w bezruchu. I jeszcze ten potworny upał. Powietrze wydawało się wprost lepkie od temperatury – to dziwne wrażenie potęgowała świadomość, że zapas wody pitnej na jachcie był co najmniej niezadowalający. Sam fakt tej właśnie świadomości dobitnie zwiększał pragnienie i dodatkowo potęgował poczucie bezradności.

Zejście pod pokład w tych warunkach przypominało nurkowanie – temperatura w kabynie pod nagrzanym pokładem, bez żadnego wietrzącego ruchu powietrza przekraczała 60 stopni i pozwalała jedynie na szybkie zabranie czegoś potrzebnego i powrót ostatkiem sił z powrotem na pokład. Nic niestety nie zapowiadało jakiegokolwiek zmiany sytuacji.

Koło południa doszedłem do wniosku, że trzeba będzie wynurkować z kambuza coś do jedzenia, bo kiszki zaczęły właśnie przygrywać marsza do taktu tego przygnębiającego, powolnego kiwania. Pomyślałem – wskoczę na chwilę do wody, popływam kilka minut, może trochę przynajmniej mnie to orzeźwi i potem wynurkuję z kabiny jakieś krakersy.

Wskoczyłem z rufy do wody – w pierwszym momencie rzeczywiście orzeźwił mnie przyjemny, złudny chłodek, temperatura wody przekraczała 26 stopni. Parę szybkich ruchów, żeby odzepić się trochę od tego kiwającego się bezradnie w miejscu pudła. Nieprzyjemny gorzki smak w ustach – zawsze po skoku do tej słonej wody, żeby nie wiem jak zaciskać usta to jednak przedostanie się ta gorycz. Leżąc na plecach, bez ruchu obserwuję maleńkie obłoczki przesuwane się po niebie i przybierające stale zmieniające się kształty. Zaraz, przecież one się jednak przesuwiają – musi przyjąć wiatr. To dziwne, bo barometr stał jak wrośnięty i nic nie wróżyło jakiegokolwiek zmiany. Jeszcze poleżę tak chwilę i trzeba będzie wracać na jacht. Jak się pływa w pojedynkę, samemu, to nie powinno się na pełnym morzu

wchodzić do wody – nie wiadomo co może się zdarzyć, a nikt nie przyjdzie z pomocą. No tak, tak się mówi, ale przepisy nie przewidują takiego potwornego żaru i tej cholernej ciszy, która nie wiadomo kiedy się skończy. Zresztą nikt nie widzi, to nie będzie komu marudzić – to zupełnie wyłącznie tylko moja sprawa. Większy od innych obłok zwrócił moją uwagę – widać było wyraźnie jak rośnie – to już prawdziwy Cumulus Humilis – chyba jednak niedługo przyjdzie ten oczekiwany i potrzebny wiatr.

Wolno przewróciłem się z pleców do żabki – rozejrzałem się automatycznie wkoło i stwierdziłem, że nadspodziewanie daleko odniosło mnie od jachtu. Zacząłem wolno żabką płynąć w jego stronę, gdy moją uwagę przykuły ładnie wydęte żagle – och, nareszcie jest wiatr, szybko na pokład, w końcu można będzie ruszyć w dalszą drogę.

Teraz widziałem już wyraźnie zmarszczoną powierzchnię wody – po trzech dniach oleistej gładzi nareszcie te zmarszczki. Podświadomie przeszedłem z żabki na crowsa i zwiększyłem szybkość – jak najszybciej na pokład – trzeba żagle optymalnie poustawiać, żeby wykorzystać powstały wiatr maksymalnie. Trzeba trochę ogarnąć powstały przez te trzy dni bałagan i znowu zacząć prawdziwą żeglugę. W głowie zaczęły się obliczenia – 120 mil do Syrakuz – jak da się utrzymać 4 – 5 węzłów to za dobę będzie można wchodzić do portu. Szybkie spojrzenie w stronę jachtu – jakoś nie bardzo się do niego zbliżam – trzeba płynąć prędeż, ale już płynę tak szybko jak tylko potrafię i dystans dzielący mnie od jachtu – te głupie 20, może 25 metrów zamiast się zmniejszać zupełnie nie robi takiego wrażenia.

Jacht z pięknie wydętymi żaglami płynie zachowując, co dziwne, kierunek, chociaż nie jest sterowany – musiał się rumpel zaczepić o luźno zwisające liny talii grota – w normalnych warunkach jacht, silnie nawietrzny powinien skręcać do wiatru, aż do wejścia w jego linię i po samoczynnym zwrocie stanąć w dryfie. Coś musiało zablokować rumpel w położeniu „lekko na odpadanie” – to byłoby wytłumaczenie tej sytuacji – zaczynam czuć zmęczenie – teraz widzę wyraźnie, że odległość do jachtu powoli, ale stale się zwiększa. Nie mogę w nieskończoność płynąć tak szybko, bo zaraz wystrzelam się z całego zapasu kondycji i co wtedy? Przeszedłem znowu do żabki i ustaliłem swoją prędkość tak, aby jak najmniej się męczyć. Jacht zaczął się oddalać wyraźniej.

Najważniejsze to nie wpaść w panikę, zachowywać się racjonalnie i rozsądnie. Łatwo powiedzieć – ale co w tej głupiej sytuacji jest rozsądne? Na pewno trzeba płynąć oszczędzając siły w stronę w którą ucieka jacht – przecież on musi kiedyś w końcu skręcić pod wiatr i zatrzymać się. Taki przytrzymały przypadkiem liną rumpel na pewno się z tej liny wyswobodzi – tylko kiedy? Trzeba zachować spokój i nie denerwować się bezpotrzebnie.

Po godzinie sytuacja wyglądała następująco: odległość do jachtu wzrosła do ponad pół mili, moje siły były poważnie nadwreżone, a na domiar złego coraz trudniej przychodziło mi zachować spokój – co postanowiłem sobie twardo, po pierwszej rzeczowej ocenie sytuacji. Morze z zupełnie „gładkiego lodowiska” zmieniło się w międzyczasie w normalną sfalowaną wodną pustynię, co dodatkowo utrudniało uporczywe pływanie. We wgłębieniu, pomiędzy kolejnymi falami uciekający jacht zniknął z pola widzenia. Na domiar złego po głowie zaczęły biegać rozmaite historie dotyczące spotkań ludzi z rekinami. Sceny z filmu „Szczęki” przesuwają się jak żywe w podświadomości. Chociaż w tym rejonie spotkania z rekinami należą do niezwykle rzadkich, to jednak zupełnie nie wiadomo dlaczego właśnie ten temat stał się głównym, zasadniczym wręcz tłem zmęczenia i strachu spowodowanego tą niecodzienną sytuacją.

Pierwszy raz zachłysnąłem się wodą po około trzech godzinach. Tłumienie narastającego strachu stało się coraz trudniejsze. Głupie myśli – po co ja właściwie ciągle płynę – co to da, przecież jacht pokazujący się jedynie wtedy, gdy jestem na szczycie fali jest już chyba dalej niż dwie mile. Gonitwa myśli, ciągle jakieś wydarzenia z przeszłości pomieszane ze scenami z filmu ze sztucznym rekinem. Jakieś przestrogi matki z czasów kiedy byłem małym dzieckiem, jakieś przeczytane mądrości dotyczące ostrożności w kontaktach z wodą – oraz nie

wiadomo dlaczego ciągle powracający wierszyk z dzieciństwa : Róziu nie rusz tego kwiatka, róża kole, rzekła matka, Róża matki nie słuchała, ukłuła się i płakała.

Ciężki oddech, drętwiejące nogi i coraz częstsze zachłystywanie się wodą przy nieprawidłowym, nachalnym chwytaniu powietrza. Ile czasu jeszcze dam radę płynąć ? Trudno ocenić – nie wiem, ale na pewno już nie długo. Rytmiczne ruchy, hamowane rozsądkiem – tylko nie panikować – wolno, skutecznie i z jak najmniejszym wysiłkiem – tylko wtedy jest szansa, że jeszcze trochę wytrzymam. Wszystko powoli staje się jakieś nierealne, jakby ruchy potrzebne do tego, żeby płynąć odbywały się gdzieś poza organizmem, gdzieś z boku. Trudno w takich sytuacjach o precyzyjne poczucie uciekającego czasu – nie wiadomo czy w rzeczywistości minęło go więcej, czy mniej niż się wydaje. Zauważyłem z dużym zdziwieniem, że zaczęło się ściemniać. Nowy rodzaj strachu – jak zapadnie noc jak zobaczę jacht, w jaki sposób będę mógł utrzymać właściwy kierunek. Myśl nerwowo błądzi po stronach Almanachu – jak jest dziś z księżycem ? Nie mogę sobie zupełnie przypomnieć. Zaraz, a co było z księżycem wczoraj ? Nie mam pojęcia – od wczoraj dzieli mnie tak wiele, że już nic nie wiem, tylko ciągle wbrew nasilającemu się bólowi mięśni ten systematyczny ruch rąk i nóg, żeby jeszcze chociaż kawałek w dobrym kierunku. Prosząco wpatruję się w strasznie daleką sylwetkę jachtu na tle ciemniejącego nieba – zatrzymaj się, przestań trzymać kierunek. To ciekawe, że gdy płynąc chciałem tak ustawić ster i żagle, żeby nie tracąc kierunku móc ugotować obiad to były z tym duże trudności, a teraz – złośliwość przedmiotów martwych.

Jacht widać coraz gorzej, ale zaraz jakoś inaczej zaczęła być widoczna jego sylwetka – chyba stanął w końcu do wiatru. Bezmyślnie, automatycznie przechodzę do crawla i zwiększam prędkość, tak jakbym chciał pobić rekord świata. Nie ważny ból drętwiejących nóg, nie ważne, że co trzy – cztery ruchy rąk wraz z powietrzem łapię spory łyk obrzydliwej gorzkiej wody, nic nie jest ważne oprócz prędkości. Długo to trwa, bardzo długo – dawno powinienem już nie móc zrobić następnego ruchu, ale ciągle jakoś mogę. To przypomina jakiś wstrętny masochizm – takie znęcanie się nad samym sobą. Wreszcie nie ma wątpliwości – dzieląca nas odległość maleje – to nie złudzenie, ona maleje rzeczywiście. Jeszcze prędzej, zupełnie bez sensu, ale nie mogę inaczej, a czas leci teraz z wielkim trudem. Przepycha się pomiędzy kolejnymi ruchami zmęczonych rąk. Wschodzi księżyc i jacht widać teraz bardzo wyraźnie. Fok pracuje na wstecznym biegu, a grot łopocze lekko by za chwilę znowu pracować i znowu łopocze – jacht stoi w dryfie. Boże dziękuję Ci – teraz wiem, że dopłynę.

Jeszcze sporo czasu upłynęło zanim znalazłem się w pobliżu drabinki rufowej. Gdy udało mi się ją pochwycić, czułem się tak, jak może się czuć alpinista na końcu ciężkiej wspinaczki, na upragnionym i dotychczas nie zdobytym szczycie. Wyjście na pokład jachtu, które w normalnych warunkach zabiera nie więcej niż 10 sekund tym razem trwało chyba ponad pół godziny. Zwaliłem się na poduszki kokpitu jak skatowane zwłoki, dysząc jak lokomotywa. Jedna myśl uparcie kołatała się po głowie – muszę przecież wziąć z kabiny te krakersy od których zaczęła się ta cała piekielna historia. W końcu było to zaledwie kilka godzin tego długiego rejsu, którego inne przeżycia staną się może kiedyś przedmiotem kolejnych opowiadań.

Było to wydarzenie zupełnie autentyczne i nie zostało do tej pory jeszcze nigdy nikomu opowiedziane – wstyd z powodu własnej głupoty nie pozwolił do tej pory wydobyć go na światło dzienne. Teraz od tego czasu minęło już tyle lat, że inna jest perspektywa do tych wydarzeń. Trzeba innych ustrzec od podobnych zdarzeń.